



# Nadzieja na gruzach racjonalności

## Czy w obliczu kryzysu klimatycznego wchodzimy w epokę barbarzyństwa?

Ewa Bińczyk

Wydział Filozofii i Nauk Społecznych, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu  
ORCID: 0000-0002-8945-1371

Barbara Rogala

Instytut Zrównoważonej Gospodarki

Jak ewoluowała retoryka debaty o antropocenie i walce z kryzysem politycznym, a także jak ludzkość przekuwa ten język w działania? Mówi o tym Ewa Bińczyk – profesor nauk humanistycznych, filozofka związana z Instytutem Filozofii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jedną z czołowych polskich badaczek antropocenu, filozofii nauki i technologii, autorka książek *Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu* (2018), *Uspołecznianie antropocenu. Krytyczna teoria społeczna wobec kryzysu planetarnego* (2022) oraz *Technonauka w społeczeństwie ryzyka* (2012).

**Barbara Rogala:** Poznałyśmy się sześć lat temu i wtedy pytałam Panią o książkę *Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu*. Pamiętam, że z tamtej rozmowy przebijała nadzieja, że wchodzimy w dekadę zmian na rzecz klimatu w gospodarce i polityce, że retorycznie i praktycznie wychodzimy z marazmu, o którym Pani pisała. Chwilę później przyszła jednak pandemia, kryzys energetyczny, wojna w Ukrainie, inne konflikty, a Donald Trump zdążył dwa razy wyjść z Porozumienia paryskiego. Jak patrzy Pani na ten czas zarówno z perspektywy postępu walki z kryzysem klimatycznym, jak i własnej pracy intelektualnej? Jak ewoluowała retoryka epoki antropocenu? Co stało się z dominującymi w tej debacie narracjami i czy dziś motywują nas do działania czy niekoniecznie?

Ewa Bińczyk: Od razu uprzedzę, że ostatnio jestem raczej przybita tym, co czytam i obserwuję. Tak, od 2020 roku działo się sporo, ale raczej nie są to rzeczy, z których możemy się cieszyć i czerpać nadzieję. Po drodze sama pisałam o takiej desperackiej nadziei, potem o tym, że nawet epizody rozpaczy mogą być dla nas funkcjonalne. Staralam się też dookreślić, na czym taka funkcjonalność może polegać – epizody rozpaczy dodają odwagi, rozpacz wyrzuca nas z błędnego koła tych samych rozwiązań, strefy komfortu, pozwala odejść od *business as usual*. Jeżeli rozpacz to jest tylko epizod, od którego umiemy się jeszcze odbić, to wydaje mi się, że może nas motywować do rozbicia skostniałych struktur, szczególnie myślenia o gospodarce.

Wcześniej wychodziłam od analizy retoryki debaty o antropocenie, która była – ciągle jeszcze jest – taką unikatową i interdyscyplinarną debatą, inspirującą do zmian. Różne głosy w jej ramach wzajemnie się wspierały po to, żeby wyrazić i dostrzec to, co dzieje się z planetą, zwracając uwagę na skalę destrukcji dokonywaną przez człowieka na Ziemi. Potem w książce *Uspołecznianie antropocenu* przeszłam do retoryki szukania rozwiązań. Przez parę lat analizowałam słowniki ekonomii ekologicznej, a także ekonomii politycznej. To dwa obszary na marginesie ekonomii głównego nurtu, gdzie na poważnie bierze się te raporty przyrodoznawców, które pokazują nam ryzyko destabilizacji hydrosfery, atmosfery, litosfery, żywnych gleb i biosfery.

Natomiast najnowsze prace, które czytam, naprawdę są przybijające. Wnioski są takie, że pomalutku zaczynamy urządzać się w barbarzyzmie. Kolejne – że po 2022 roku, czyli inwazji Putina na Ukrainę, w mainstreamie w zasadzie ugruntowała się retoryka *overshoot*, czyli zgody na klimatyczne przestrzelenie. Zakłada ona, że zamiast dekarbonizacji ludzkość zamierza pozwolić na przekroczenie punktów przełomowych, może i nawet dopuścić do podgrzania o +2 stopnie Celsjusza. Chodzi o to, żeby teraz jeszcze zarobić ile się da, wykorzystując paliwa kopalne i podsycając uzależnienie od tego sektora i trybu funkcjonowania gospodarki. Osładzamy to obietnicą, że za trzy, cztery dekady, „weźmiemy się do roboty”, zdekarbonizujemy, posprzątam, bo będzie geoinżynieria i inne nowe technologie. Dzięki nim rzekomo wyssimy dwutlenek węgla z atmosfery. Przyrodoznawcom jeży się włos na głowie, gdy tego słuchają. Mimo to, mamy prace, które pokazują, że retoryka przestrzelenia jest dobrze ugruntowana, przenika już praktykę instytucji globalnych. Ideologia zgody na przestrzelenie to jednak w swej istocie kompletny absurd – to tak, jakbyśmy dostali diagnozę choroby nowotworowej, która stanowi śmiertelne zagrożenie, decydujemy się jednak poczekać 40-50 lat z leczeniem na lepsze technologie medyczne. Tak zachowuje się w tej chwili ludzkość, jeśli chodzi o kryzys planetarny. Gdzie w tym racjonalność?

**BR:** Tak, zwłaszcza, że wiele z tych technologii może okazać się mrzonkami i pobożnymi życzeniami, co nierzadko wydaje się być w interesie przemysłu paliw kopalnych czy wszystkich, którzy zyskują na masowym unieruchomieniu.

**Czytałam ostatnio raport „Wiem, że to manipulacja, ale i tak się denerwuję. Polacy wobec dezinformacji” napisany pod przewodnictwem prof. Przemysława Sadury. Napisano tam, że „problem dezinformacji to nie tylko kwestia prostowania kłamstw. Jej efektem jest narastanie błędnych przekonań, a czasem zobojętnienie i zanik chętni do działania. Walka z dezinformacją jest zatem krokiem przeciwko wycofywaniu się obywateli ze sfery publicznej”. Czyż to mydlenie oczu, dezinformacją, fałszywymi rozwiązaniami nie prowadzą właśnie do marazmu i bezradności z *Epoki człowieka*?**

EB: Co do pojęcia marazmu – ja już dziś nie uważam, że ta metafora nam wystarcza. Wobec problemu marazmu mamy jeszcze racjonalne rozwiązania. Zdaje się, że można krytycznie wybudzić się z takiej stagnacji, zbojkotować go, oświeceniowymi argumentami rozbić tę strukturę czy przyglądać się jej instytucjonalnie, próbować ją rozmontować. Jednak od jakiegoś czasu ze smutkiem myślę, że do tego kompleksu problemów pasuje raczej kategoria „odklejki”, zbioru urojeń, bardzo mocno wzmacnianych właśnie przez dezinformację. Nie wiem jak inaczej nazwać to, że niepokojące dane od ekspertów po prostu „spływają” po decydentach.

Jestem pod sporym wrażeniem dwóch ostatnich książek Andreea Malma z 2024 i 2025 roku – to bardzo ważna postać dla debaty o antropocenie, antropologii energii, humanistyki środowiskowej. Ze swoim współpracownikiem Wimem Cartonem zrobił on świetne analizy oparte o dane księgowo-przemysłowe paliw kopalnych i decyzje dotyczące tego, co my finansujemy, jakie kredyty zabezpieczamy. Autorzy ci pokazują, że był taki ulotny moment przed inwazją Putina na Ukrainę, gdy Międzynarodowa Agencja Energii dotarła do mainstreamu z brutalnym przekonaniem, że nie możemy już wydobywać paliw kopalnych. Podchwyciły to wielkie media, jak „Washington Post” czy „Forbes”. Wtedy w oczach decydentów i inwestorów stanęło widmo kryzysu – bo jeśli mamy się naprawdę dekarbonizować, to będzie to bardzo dużo kosztowało, aktywa zostaną osierocone. Zainwestowaliśmy i inwestujemy bardzo dużo w infrastrukturę wydobywania i transportu paliw kopalnych. Choć więc jest to technicznie wykonalne – bo mamy innowacje, które pozwalają na stuprocentową dekarbonizację – to gigantyczne zyski zostaną utracone. Mówimy o aktywach osieroconych najpotężniejszych inwestorów tego świata, banków, funduszy, korporacji. Nie chodzi wyłącznie o przemysł wydobywczy, ale także przetwórstwo, transport, sektory oparte na paliwach, motoryzację. Odejście od paliw kopalnych wiązałoby się z ryzykiem poniesienia kosztów kilka razy przewyższających straty podczas kryzysu finansowego z 2008 roku. Dla mainstreamu to był szok. Po tym nastąpił atak Putina na Ukrainę, a UE zaczęła aktywnie i agresywnie szukać nowych kontraktów na gaz w innych miejscach niż Rosja. W efekcie ceny gazu wzrosły, podobnie jak węgla, bo słabsi gracze musieli wrócić do tego surowca, straciwszy dostęp do gazu. To, co dzieje się dziś w sektorze paliw kopalnych, dobrze zdaje się określać kategoria zbiorowego urojenia. Wygląda na to, że spalimy wszystko, co się da, byle zarobić, zaś państwa i banki będą asekurowały i kredytowały ekobójstwo.

Malm i Carton podają świadczące o tym brutalne dane – to nie marazm, to raczej bezwzględne i cyniczne napędzanie katastrofy. Tak więc otoczka dezinformacji jest niesłychanie funkcjonalna, bo choć naukowcy piszą i mówią o tych problemach, to w mainstreamie te tematy nie istnieją. Żyjemy w złudzeniu, że się nieco wyziewiamy, tu i tam optymalizujemy gospodarkę – co w ogóle nie zachodzi na skalę, która jest istotna z punktu widzenia przetrwania ludzkości.

**BR: Fakt, że wchodzi wiele nowych technologii oznacza zmianę układu sił, zmianę porządku. Nie dziwi mnie więc to, że beneficjenci starego systemu (np. petropaństwa, czy firmy z grupy BigOil) kurczowo trzymają się business as usual. Opisali to ekonomiczni nobliści z 2025 roku w kategorii „twórczej destrukcji”. Innowacje niosą ją, a stary monopol próbuje zatrzymać ich ekspansję. Na tej planszy sił brakuje szerokich grup społecznych, które rozpoznają, że ich interes leży w zmianie obecnego porządku, społecznej emocji, która umożliwi żądanie zmian. Jak można zdobyć serca i umysły dla sprzeciwu wobec tego barbaryzmu, co mówi nam o tym socjologia i filozofia? W tym kontekście myślę o dezinformacji dotyczącej klimatu jako narzędziu do osiągnięcia celu politycznego, jakim jest demobilizacja ludzi?**

EB: Uporczywie szukając iskerek nadziei, sięgam ostatnio po literaturę z zakresu ekonomii politycznej. Zgadzam się z wieloma autorami, którzy piszą, że popełnialiśmy błędy, źle adresując edukację klimatyczną, źle konstruując politykę klimatyczną. Chodzi o to, że walcząc z dezinformacją w zakresie klimatu, odsłaniając perfidne mechanizmy kampanii wypierania faktu, że mamy do czynienia z nadchodzącą katastrofą planetarną, koncentrowaliśmy się na klasie wykształconych profesjonalistów. To zaledwie kilkanaście procent ludzi w społeczeństwach rozwiniętych. W zasadzie wszystkie moje książki i wywiady od lat trafiają w ręce tej właśnie grupy, ludzi podobnych sobie. To jest za mało, bo przekonujemy przekonanych i edukujemy wyedukowanych. Poza tym kręgiem ludzi, którzy mają komfort, żeby cokolwiek czytać, mamy grupy społeczne pozostawionych samym sobie, funkcjonujących w niepewnych warunkach ekonomicznych, pracujących, ale na przykład na czarno lub poza systemem – jak większość kobiet, które wykonują tanią lub darmową pracę. Ludzie pozbawieni stabilności są łatwym łupem populistów i dezinformatorów. Jeśli polityka klimatyczna zostanie im przedstawiona jako wyrzeczenie, oni nie pozwolą na zmiany.

To widać po tym, co stało się z Zielonym Ładem w Europie. Zwykli obywatele nie odnaleźli się w tej wizji, ale też nie zaadresowano jej do nich. Nie pokazano im, że mają jakikolwiek materialny interes w popieraniu dekarbonizacji. Zgadzam się z ekonomistami politycznymi, którzy mówią, że bez masowego poparcia ludzi pracujących, których nie stać na dostęp do lekarzy czy płacenie rachunków, zmiana się nie dokona. Nie chodzi tylko o USA, w Polsce również dane pokazują, jak wielka jest skala ubóstwa, jak wielu ludzi żyje poniżej minimum socjalnego. Codziennie

walcząc o przetrwanie, oni słyszą zniekształcone mity, że mają jeszcze bardziej zacisnąć pasa w imię ochrony środowiska. To nie może tak wyglądać. Jeżeli mamy przemówić do masowej wyobraźni, potrzebujemy języka korzyści dla najsłabszych i sprawiedliwości klimatycznej. Potrzebujemy dziś na przykład rozwiązań w rodzaju darmowego prądu dla najuboższych. Ekonomiści polityczni, tacy jak Matthew T. Huber, mówią: wkrótce będzie coraz więcej ludzi pokrzywdzonych przez anomalie pogodowe, susze, powodzie błyskawiczne. Tych ludzi, czy tych, którzy będą zwalniani z pracy w sektorze paliw kopalnych, powinniśmy uznać za grupy uprzywilejowane, myśleć o nich jak o weteranach. Alternatywą wobec sprawiedliwych zielonych ładów są narastający chaos, militarizm i barbarzyzm. Coraz więcej pisze się o takich zagrożeniach. Jeśli ich nie chcemy, jedyną iskierką nadziei jest próba pomyślenia o polityce prośrodowiskowej i bezpiecznej przyszłości dla nas oraz kolejnych pokoleń przez pryzmat szukania masowego poparcia dla polityk publicznych, które staną się na przykład politykami dbałości o dobra wspólne, osłony socjalne, subsydia dla najsłabszych.

Jednak realia są rozczarowujące. Diagnoza Jana Śpiewaka dotycząca „patopaństwa” wydaje mi się trafna. Jego książka pokazuje, jak rządy neoliberalne wycofują się z osłon socjalnych, z jakiegokolwiek odpowiedzialności, co zresztą jest też widoczne w sposobach prowadzenia polityki dekarbonizacyjnej. To wyrzeczenie się odpowiedzialności przez państwa, brak sprawności i ambicji państw jest również ogromnym problemem. Nie widzę bowiem innego podmiotu skutecznej, długofalowej dekarbonizacji niż państwa i regulacje. Wolny rynek nas nie zbawi, nie zdekarbonizuje – same mechanizmy wolnorynkowe nas po prostu usmażą, jak pokazuje Malm. Dowodzi tego fakt, że wydobywanie paliw kopalnych nadal rośnie. Co roku o 10 proc. wzrasta ilość wydobywanego na świecie węgla. Emisje miały spadać rocznie o co najmniej 7 proc., żebyśmy zrealizowali cele Porozumienia paryskiego, tymczasem one o 2 proc. co roku wzrastają.

W tym kontekście dezinformacja jest bardzo niebezpieczna. Zamiast tkwić w urojeniu, że zielone łady same się wybronią, powinniśmy podjąć wysiłki systematycznej przebudowy masowej wyobraźni – tworzyć politykę proklimatyczną w interesie zwykłych obywateli.

**BR: Chcę jeszcze nawiązać do kwestii postępu naukowego, innowacji, roli technologii i wiedzy w tym wszystkim. Kryzys klimatyczny z jednej strony obnażył fakt, że przyrodę traktujemy jak towar czy zasób, z drugiej strony technologia i nauka są źródłem innowacji, które mogą realnie zmienić naszą relację z resztą przyrody. Widzimy jednak, że nauce nie udaje się samym swoim autorytetem wpływać na decyzje polityczne czy gospodarcze.**

EB: W swojej książce *Technonauka w społeczeństwie ryzyka* pokazywałam, jak możemy dziś myśleć o monitorowaniu postępu naukowo-technologicznego z zachowaniem przeświadczenia, że istnieje coś takiego jak autorytet ekspertów. Jako filozofka nauki,

z niepokojem przyglądam się epoce postprawdy. W debacie publicznej w wielu krajach mamy kakofonię klaunów, którzy cynicznie przekłamują rzeczywistość i nie są z tego rozliczani. W tym kontekście przychodzi mi na myśl książka Harry'ego Collinsa *Czy wszyscy jesteśmy ekspertami?*, którą miałam przyjemność współtłumaczyć. Collins w bardzo przejrzysty sposób pokazuje, na czym zasadza się autorytet *science*. To nie są dobre intencje i charaktery naukowców, tylko zinstytucjonalizowane mechanizmy anonimowego recenzowania i walki o prestiż w kategoriach merytorycznych. Wcześniej Robert Merton pisał o nauce jako wzorze dla demokracji. Eksperci w nauce posługują się etosem bycia zapamiętanym za osiągnięcia naukowe. Etos naukowy wymaga przekonywania wspólnoty do tego, że mam cenny wkład w dyscyplinę. Aby to zrobić, muszę nabyć język i określone kompetencje, by koleżanki i koledzy mogli ocenić mój wkład. Najlepsze czasopisma i wydawnictwa stosują zasadę anonimowych recenzji – ta struktura sprawia, że możemy polegać na nauce. To dlatego w najlepszych pismach naukowych nie znajdziesz publikacji antyszczepionkowców albo denialistów – nie mają dowodów, świadectw, przekonujących argumentacji. Mamy proste narzędzia pozwalające odróżniać papkę dezinformacyjną od faktów naukowych. Problemem są media, w których nie odsiewa się ziarna od plew.

**BR: Czego potrzebujemy, by przebudować masową wyobraźnię? Czy to powinny być wizje artystyczne, filozoficzne czy wyłącznie propozycje ekonomiczne lub polityczne? Co możemy jeszcze robić w obliczu tego polikryzysu?**

EB: Współczesne społeczeństwa i politycy stają na głowach, żeby zabezpieczyć infrastruktury generujące zyski elit (tankowce, lotniska, autostrady, mury graniczne), nie zabezpieczamy natomiast tego, co podtrzymuje życie na planecie: mokradła, gleby, lasy, systemy naturalne. Fakt, że biosfera jest nam krytycznie potrzebna, żeby dalej były jakiekolwiek zyski jest zupełnie pomijany. Sytuacja w mojej ocenie jest irracjonalna i dramatyczna.

Co więc możemy zrobić? Aby sektor paliw kopalnych z jego monstrualnym umocowaniem się zdekarbonizował, musiałby zostać objęty bezprecedensowymi zmianami, być może wywłaszczony i upaństwowiony. Silne państwa i banki centralne mogłyby to sfinansować, gdyby taka była wola polityczna. Dopóki obywatele masowo nie będą żądać od państw, by to się dokonało, nikt nie weźmie na siebie tego ryzyka – na pewno nie przemysł czy wolny rynek. Podniesienie się temperatury o dwa stopnie jest dla nas w Europie wciąż zbyt abstrakcyjne, co nie znaczy, że w krajach rozwijających się nie umierają ludzie z powodu anomalii pogodowych. W Kapsztadzie, gdzie w latach 2015-2018 była susza i związane z nią limity poboru wody na osobę, powstawały gigantyczne kolejki do kranów publicznych, w których godzinami czekali ubodzy. Tymczasem nocami za murami bogatych dzielnic podlewano trawniki. Na tym właśnie polega barbarzyzm, że decydujemy, kogo można po prostu poświęcić, kto nie dostanie już odszkodowania czy wody, komu wyłączymy prąd. Czy nie słyszymy już wszędzie, że nie stać nas na edukację, sztukę, a nawet

służbę zdrowia czy pomoc socjalną, bo musimy się zbroić? Gdy anomalie i braki będą narastały, będziemy mieli wiele ognisk konfliktów. Wiele cierpienia. Zmiana klimatyczna przestanie być abstrakcją, na przykład dla tych, którzy zostali zalani lub utracili plony, których nie stać na prąd. Niektórzy badacze widzą w tym szanse na dogłębną zmianę polityczną. Musimy jednak brać pod uwagę również i to, że w odpowiedzi elity będą się brutalizowały, a język polityków ulegnie faszyzacji.

**BR: Co z budowaniem języka nadziei? Czy on nie jest nam niezbędny, żeby działać? W Pani słowniku powstała „ekowerwa”, a na przykład Marcin Napiórkowski w książce *Naprawić przyszłość. Dlaczego potrzebujemy lepszych opowieści, żeby uratować świat?* pisze, że potrzebujemy narracji, które zbudują pozytywną wizję wspólnej przyszłości. Czy nie jest tak, że strach związany z wizją kolapsu nie wystarczy, żeby zmobilizować nas do budowania wizji lepszej przyszłości?**

EB: Wyobraźnia antropocenu robi się raczej coraz mroczniejsza. Już teraz w pismach naukowych czytamy o „piekle klimatycznym”, zanikach łańcuchów dostaw, skokowych stratach gospodarczych, uwiędach całych sektorów. Nauka otwiera się więc na analizę realiów kolapsu, jego etapów, możliwego i coraz bardziej prawdopodobnego ryzyka najczarniejszych scenariuszy. Uważam w tym kontekście, że konstruktywna, rozsądna nadzieja musi być oparta na takiej trudnej do przełknięcia wiedzy... Takie są brutalne fakty, od których musimy wyjść, zamiast bujać w obłokach samozadowolenia czy wyparcia.

Obserwując kolejną wojnę, tym razem w Iranie, coraz częściej myślę jednak – co nam po ekowerwie? Co ekonomistom ekologicznym z tego, że mają rację i że stają na głowie, szukając nowego języka, skoro przemysł paliwowy ma armię lobbystów, a politycy ich właśnie słuchają, a nie naukowców? Czytamy, że do końca stulecia planeta ociepli się o około 2,7-3 st. Celsjusza. Oznacza to, że około 40 proc. ludzi na Ziemi w pasie równikowym będzie narażonych na podnoszenie się poziomu morza i skrajne skutki destabilizacji klimatu. Czy bogaty, uprzywilejowany świat założył już, że ci ludzie zostaną w strefach upałów, w slumsach i tam „sobie spokojnie wymrą”?

**BR: Mówiliśmy o tym, że rozwiązania wolnorynkowe nie są skuteczne. Jednak tzw. *decoupling*, czyli rozdzielenie wzrostu gospodarczego od emisji gazów cieplarnianych udało się w Europie, jest też obserwowany w innych miejscach. Antonio Guterres wzywał też nie tak dawno do wyjścia poza PKB jako miernik dobrobytu i postępu na rzecz środowiska.**

EB: To, co mówi Sekretarz Generalny ONZ to zawsze miód na moje serce. On nazywa sektor paliwowy „demonicznym, diabelskim kapitałem”... Co do odłączenia wzrostu gospodarczego od wzrostu zasobochłonności i energochłonności, to z mojej wiedzy wynika, że z uwagi na hiperkonsumpcję i standard życia w Europie, które oparte są na handlu międzynarodowym, żaden z krajów nie może pochwalić

się zdecydowanym sukcesem odłączenia. Dane te często nie uwzględniają kosztów środowiskowych towarów konsumowanych w Europie i sprowadzanych z innych części świata, gdzie odnotowuje się zanieczyszczenia, zużycie zasobów i energii. Piszą o tym Jason Hickel, Giorgos Kallis i inni. Europa, nawet w Europejskim Zielonym Ładzie, nie wyrzeka się wcale idei wzrostu. Dyskusje o konieczności równowagi rozwoju czy wystudzenia materiałochłonności gospodarek nie przyniosły rezultatów. Zoptymalizowaliśmy jedynie nieco globalnie dramatycznie rosnącą konsumpcję i produkcję. Zasobożerność i energożerność ludzkości rośnie, a nie spada, nie ma wątpliwości.

### **BR: A co z uspołecznianiem antropocenu?**

EB: Długo starałam się pisać o warunkach odnowienia wyobraźni, o misji humanistów, ekspertów od zmiany społecznej i akademiczek w obliczu ryzyka wymierania, ale dziś myślę, że chcąc zachować kontakt z rzeczywistością, czas zacząć mówić o urządzaniu się w barbarzyzmie. Isabelle Stengers pisała o tym już dwie dekady temu! Aktywiści i intelektualiści zapewne nie przestaną podkreślać, że liczy się każda 0,1 stopnia Celsjusza, żeby łagodzić skutki katastrofy. Wraz z każdym stopniem wzrostu temperatury globalnej, podaje Malm, o 70 proc. spadają szanse na jakąkolwiek adaptację ludzkości. Nie możemy się poddać. Choć nie mam dziś stanu ducha ekowerwy, przychodzi mi do głowy termin Theodora Adorno „nadzieja wbrew nadziei”. Adorno podkreślał, że podstawą racjonalności, nawet w fatalnych warunkach, jest podtrzymywanie nadziei, nawet gdy wszystko wskazuje na to, że jest to za trudne i nie ma podstaw, my inaczej nie umiemy. Na tym być może polega człowieczeństwo.

### **BR: Co za tym ma robić w tych okolicznościach humanistyka, sztuka? Obnażać skandale?**

EB: Pisałam o tym, że antropocen to epoka stuporu i opłakiwania nieodwracalnych strat. Nasz irracjonalny stosunek do planety, która jest przecież naszym jedynym domem pokazuje, kim w ogóle jest człowiek w XXI wieku. W trzeciej dekadzie XXI stulecia wchodzimy w skandaliczne czasy przestrzelenia i irracjonalnych retoryk, które zaczynają dominować życie publiczne. Z punktu widzenia filozofki to przygnębiające, ale też w pewien przewrotny sposób – fascynujące. „Na papierze” mamy strategie dekarbonizacji poszczególnych sektorów gospodarczych, wiemy, kto zarabia na destrukcji środowiska, wiemy kogo i jak opodatkować, jak rozwiązać problemy nierówności i niesprawiedliwości – intelektualnie w mojej ocenie jesteśmy bardzo dobrze przygotowani. Możliwe jednak, że z tej wiedzy i osiągnięć intelektualnych po prostu nigdy nie skorzystamy. Odwagi posługiwania się nauką i rozumem może nam zwyczajnie nie starczyć.